



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50, na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15. Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabiń Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Z życia realisty, Obrazek przez Elizę Orzeszkową. (Dokończenie). — Przepaść (Dramat). Dalszy ciąg. — Pogadanka tygodniowa. — Historyczne pachnidła. — O ubiorach męzkich.

Z ŻYCIA REALISTY

OBRAZEK

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dokończenie).

— Przyszedłem oznajmić panu, rzekł podchodząc do mnie, lisim jakby skradającym się krokiem, który zawsze chód jego cechował: przyszedłem oznajmić panu o nadzwyczajnym wypadku, który się zdarzył w fabryce.

— Cóż to takiego? spytałem mierząc go zimnym wzrokiem.

— Jedna z robotnic uciekła tej nocy. Zadrżałem, przeczulem coś strasznego. Pod-dyrektor dostrzegł znać zmiany w mej twarzy, bo szare oczki jego żywiej jeszcze błysnęły, ale pokrywając swoje uczucia maską chaotycznego oburzenia mówił dalej.

— Już to ja zawsze mówiłem, że ta dziewczyna tutaj to do niczego! Ot i ta nic dobrego Ulana, rzuciła fabrykę, i powlekła się Bóg wie gdzie, a teraz niema na jej miejsce...

Niewiem czy mówił co dalej, bo jak szalony rzuciłem się ku drzwiom. Jak w owej chwili nie uduśiłem tego nędznika niewiem, tak jak niewiem, kiedy zbiegłem ze wschodów, i znalazłem się na dziedzińcu. Na ostatnim wschodzie spotkałem się z Maryjką, która płacząc rzewnie szła znać do mnie. Pochwyciłem ją za rękę i zawołałem:

— Gdzie Ulana Maryjko?

— Oj niewiem, niewiem panie! odpowiedziała szlochając, przed świtem dzisiaj obudziłam się i zobaczyłam że ona już nie spała i była ubrana. Spytałam się jej czego tak rano wstała, a ona tylko podeszła pocałowała mnie kilka razy, i włożywszy świtkę wyszła. Myślałam że poszła zobaczyć jak słońko wschodzi, bo ona zawsze lubiła na to patrzeć, ale ona poszła gdzieś ze wszystkim, gołąbka moja...

Nie skończyła jeszcze tych wyrazów, gdy ja siedziałem już na koniu, i popędziłem do Zamku.

Musiąłem być mocno zmieniony, i całe piekło niepokoju jakie miałem w duszy musiało ukazać się na mej twarzy, bo p. Mieczysław, który na ganku palił fajeczkę rozmawiając z kilku ludźmi, gdy spojrział na mnie zsiadającego z konia, zsunął brwi ale

nie powiedział, dał tylko znak otaczającym aby odeszli, i w milczeniu uściśnawszy mą rękę wprowadził do mieszkania. W krótkich słowach, bo długich żadna siła nie mogłaby wtedy wydobyć z mej piersi, opowiedziałem mu wszystko, i w końcu prosiłem go o pomoc w wyszukaniu nieszczęśliwej Ulany. Słuchał mnie z chmurą na czole, potem wziął moje ręce, i długo patrzył na mnie a w oczach jego było szczere współczucie i żal.

— Smutna to historia, rzekł w końcu, i boję się aby się źle nie skończyła dla tej biednej dziewczyny.

Znam ja te Ukrainkie dziewczęta, całe niby z ognia stworzone, często w podobnych razach, idą one po to straszne ziele, co w gajach rośnie i trują się niem, albo rzucają się w jaki potok, który niekiedy martwe ich ciała zanosi do jarów, pod chatę futornika... No, ale może niekoniecznie tak źle będzie, dodał widząc przerażenie i boleść moją, może jeszcze ją odszukamy, a bądź pewny Zygmuncie że wszystko co będę mógł zrobić, rozeszlę moich oficjalistów po wioskach i drogach i nie zaśpię tej sprawy, bo o twoją spokojność mi chodzi, i żal mi doprawdy tej biednej dziewczyny.

Nadeszła i pani Zofja a dowiedziawszy się o wszystkim co zaszło, zaczęła rozmawiać ze mną, z taką prawdziwie kobiecą dobrocią i czułością, w czasie gdy mąż jej wydawał stosowne rozporządzenia, że po kilku godzinach wyjechałem z ich domu znacznie spokojniejszy, z nadzieją, że odszukam kobietę, której nieszczęścia czułem się sprawcą, o której myśl sprawiała mi tortury żalu i wyrzutu sumienia.

Tegoż dnia wydałem Grzybowicza i w parę dni potem miałem już w fabryce dawno upatrzonego przezemnie zdolnego i pracowitego pod-dyrektora.

Pochmurny dla mnie choć słońce świeciło minął dzień następny po zniknięciu Ulany, minął drugi trzeci i czwarty, i coraz więcej dni mijało a żaden z nich nie przynosił wieści o biednej kochance mej. Postać pana L. daremnie szukali po wioskach zbiegłej dziewczyny, nikt jej nie widział — nigdzie — ja sam niekiedy siadałem na konia, i przebiegałem drogi w różnym kierunku, wzrokiem szukając wszędzie jednej twarzy — jednej kobiecej postaci — daremnie.

Pan Mieczysław, ilem razy go widział, spotykał mnie z twarzą zasmuconą i mówił.

— Nigdzie jej znaleźć nie mogą, albo gdzieś bardzo daleko zaszła albo...

I nigdy nie dokończył swój myśli, bo mu pani Zofja ręką zamykała usta mówiąc.

— Nie kończ Mieczysławie! po co przypuszczać

takie straszne rzeczy i gorzej jeszcze martwić pana Zygmunta!

Ach! ja sam te straszne przypuszczałem rzeczy, o których dobra kobieta mówić niepozwałała przedemną, a poczucia moje nie były zmartwieniem, lecz bólem głębokim, graniczącym prawie z rozpaczą.

Minęło dwa tygodnie od zniknięcia Ulany, a jakie? dziś jeszcze wspomnieć ciężko! Cień jej towarzyszył mi wszędzie, płynął ku mnie w dzień na promieniach słonecznych, i stawał przedemną wśród nocnej ciemności. Obraz jej umarłej i martwo rozciągniętej na kamiennem łożu zimnego potoku, wpił się w pierś moją niby rana krwawa, huk machin powtarzał mi ciągle jej imię, a wieczorny śpiew słowika gnieźdzącego się pod oknem mojem w ogrodzie, nawoływał mi na pamięć jej pieśń, i sam wydawał się pieśnią żalu po niej. Chwilami praca odrywała mnie od tych myśli ciężkich, ale potem wracały one i mury fabryki wydawały mi się zimną, posępną pustką.

Im więcej upływało czasu, im bardziej traciłem nadzieję odszukania Ulany, tem silniejsze czułem pragnienie oddalenia się od miejsca, w którym ją znałem, a które przerażająco smutne stało się dla mnie. Czułem potrzebę odetchnięcia innem powietrzem, zmiany miejsca, ruchu, spojżenia na innych ludzi, bałem się choroby lub warjacji, bałem się najbardziej zupełnego rozprzężenia władz moralnych, którego byłem bliski. Ale trzeba znać było, aby ze strasznym z inną wcale strony przybyłym cięsem nadeszło przesilenie, trzeba znać było, aby boleść moja inną boleścią zgłuszoną została i aby obowiązki, które zawsze uważałem za święte, obudziły mnie z egotycznego cierpienia w jakim się pograżyłem.

Pewnego dnia otrzymałem kilka listów a między niemi jeden, na którego kopercie poznałem pismo mego ojca. Otworzyłem go lecz zaledwie rzuciłem nań okiem, papier wypadł mi z ręki, i jęknąłem z żalu i przerażenia. List mego ojca krótki był i zawierał tylko następujące słowa.

„Siostra twoja Felicja po bardzo krótkiej wynikłej z przeziębienia chorobie przed trzema dniami życie skończyła, Konstancja z żalu po niej rozchorowała się ciężko. Przyjeżdżaj ani dnia nie tracąc, bo upadam fizycznie i moralnie, i potrzebuję widzieć cię przy sobie.“

Boleść zabiła boleść a raczej tak zjednoczyły się obie, że już ich rozróżnić nie mogłem. Pierwszy raz od dni wielu, myśl moja oderwała się od Ulany, a przed oczami memi stanęła śliczna siostra moja której nigdy już ujrzeć nie miałem, jedyna kobieta,

na ziemi, z którą złączony byłem jednością myśli, braterstwem umysłowym. I stanął mi jeszcze w oczach sędziwy ojciec mój, upadający pod ciężarem niespodziewanego ciosu, dom mój rodzinny osmucony stratą niepowrotną, Konstancja niebezpieczną złożona chorobą. Usiadłem nad listem z czołem na dłoniach wspartym i pierwszy a jedyny raz w życiu płakałem, płakałem razem po kochance i po siostrze, nad ciężkim żalem ojca i nad żałobą rodzinnego domu. W dwa dni potem żegnałem państwa L. i puszczałem się do Kijowa z kądem miałem przysłać do Horowego dyrektora fabryki, a sam udać się bezzwłocznie w strony rodzinne.

I stało się to o czym tak często ze smutkiem mówiła Ulana: Pojechałem w świat szeroki — a ona? gdzież była wtedy?..

„O, gdyby życie było poematem, jakżebyem pięknie skończył moją powieść!“ woła poeta; i wraz dodaje: „Ale ja prawdzie muszę być posłuszny“ (1).

Gdyby to życie było poematem musiałbym umrzeć z żalu po Ulanie albo po kilku latach poświęconych jej odszukaniu, znaleźć ją i z nią wspólnie osiąść w głębi zielonego futuru, gdzieby już nam na zawsze śpiewały słowiki, mruzczały strumienie, i gdziebyśmy sami śpiewali sielskie duety ku zachwyceniu strumieni i słowików. Ale ja prawdzie musiał być posłuszny, tej prawdzie życiowej, która stanowiąc wyrok głosi po świecie, że życie ludzkie nie jest poematem, nie jest sielanką słodko wysnutą przy blasku księżycy, ale że ono długim jest ciągiem twardej rzeczywistości, wśród której wielkie szczęścia i wielkie bóle, to parokszymi chwilowe tylko, a szczęśliwy ten kto budząc się z nich zachowa moc czynu i spokój sumienia.

Trzy smutne miesiące przepędziłem po powrocie w okrytym żałobą domu rodzinnym. Nad grobem umarłej siostry mojej stanął pomnik skromny na którym obok jej imienia wypisano żałobną cyfrę jej lat 20. Ojciec nasz długo niepocieszony uspokoił się w końcu z pomocą starań moich i rezygnacji, towarzyszącej zwykle późnemu wiekowi. Konstancja długo i ciężko była chora, ale młodość zwyciężyła chorobę i przywróciła jej siły i zdrowie. Od roku przeszło starał się być o nią młody człowiek, syn sąsiada, niebogaty ale zacny i ukształcony, smutek jej zdwoił jego dla niej przywiązanie, które ona odpowiadała żywą i ze wszech miar sprawiedliwą miłością.

W parę więc miesięcy po śmierci Felicji młodsza siostra moja była zaręczoną i zostało postanowione, że po ślubie który dla żałoby domu odłożony został na czas jakiś, młoda para zamieszka razem z ojcem naszym aby do końca jego życia otoczył go staraniem i ciepłem rodzinnym.

Zrzekłem się na rzecz Konstancji części, jakaby mi należała z niewielkiego ojcowskiego mienia i uspokojony o miłe sercu memu osoby, obdarzony błogosławieństwem ojca i pełnymi miłości życzeniami siostry, wyjechałem do stolicy aby na nowo rozpocząć życie pracy. O Ulanie w ciągu pobytu mego w domu myślałem z tęsknotą i żalem — ale listy pana Mieczysława zrazu częste potem coraz rzadsze donosiły mi ciągle smutną wieść, że ślad jej zaginął całkiem i dalsze poszukiwania okazywały się bezskutecznymi. Powoli wspomnienie o niej stawało się coraz spokojniejsze, i przysłaniało się lekką mgłą. Myślałem że jeśli umarła, nieszczęście było nie do naprawienia, i nie byłem mu winien, bo stało się ono wtedy właśnie gdy mój los z nią podzielić, a jeżeli żyje to może lepiej było, żeśmy się rozłączyli nagle i stanowiąc, bo przyszłość wspólna miałaby zapewne dla nas obojga wiele stron ciemnych, a z osobna mogliśmy zapomnieć o sobie, i pójść właściwymi nam drogami. Zapomnieć jednak przez długi czas nie łatwo mi było, długo jeszcze Ulana stawała we wszystkich snach moich i gdy m bywałem sam jeden, zdawało mi się że słyszałem głos jej pieśni, będący niegdyś czarem moich samotnych wieczorów. Pisywałem do pana Mieczysława z usilnym naleganiem, z gorącą prośbą aby nie zaniedbywał niczego coby odkryć mogło los nieszczęśliwej dziewczyny, ale zawsze jednakie niepocieszające otrzymywałem odpowiedzi. W końcu zacny mój przyjaciel, który otwarcie wyznawał że nie był człowiekiem pióra, i nie miał zwy-

czaju utrzymywać długo trwających korespondencji, przestał całkiem pisać do mnie, i po Ulanie zostało mi za całą pamiątkę kilka bławatków, które wyjąłem kiedyś z jej włosów, i zamknąłem był w pułgaresie. Leżą one jeszcze dotąd zwiędłe i bezbarwne obok papierów, na których cyframi i notatami wyjętymi z książek naukowych, zapisywał się potem stopniowo pamiętnik mego życia.

Gdyby się znalazł na świecie chemik jaki, któryby potrafił pochwytać ducha ludzkiego, zamknąć go w retortę i poddać uczonej analizie długie lata trwającej, ciekawy byłby zapewne widok jak pod wpływem atmosfery życiowej, równe części składowe ducha łączą się, rozdzielają i stopniowo ulegają przetwarzaniu. Ujrzanoby wtedy, że w duchowej chemii pierwsza młodość gra rolę, zapalającego wszystko czego się dotknie tlenu, a im dłużej atomy ducha stykają się ze sprawami życia, tem więcej stygną i zmieniają się w stałe ciała rozważni. Ujrzanoby także iż duchowe żywioły zwane marzeniem i boleścią, mają pokrewieństwo z osamotnieniem i bezczynnością i tworzą z nimi związki silne, dające się rozdzielać tylko przez domieszanie do nich pracy, ruchu i zamiłowania prozaicznych lecz koniecznych spraw życia.

Te ostatnie tak odcinając wszystkie pozostałe jeszcze w człowieku świeże i młode żywioły od punktu zarzonego boleścią, że wkrótce sama ta boleść zmienia się w gaz lotny i ścieśniając się przez brak przestrzeni osiada ledwie dojrzaną warstwą pyłku na ścianach duchowej budowy. Później, w dalszym życiu, pyłek ten, wiekuista pozostałość przebytych cierpień wprawiany w ruch wspomnieniem, mięsza się niekiedy między inne czynniki ducha, ale za słaby już jest aby je mógł przetwarzać i wydobywać się tylko na zewnątrz lekkim westchnieniem szybko pochłoniętem otaczającą atmosferą.

Taki chemiczny proces i mój duch odbyć musiał. Tlen młodości rozplomieniał mi był wyobraźnią i serce, ale zetknięcie się ze światem gwaru, ruchu i interesów, praca ciągła a niekiedy mozolna, doprowadziły mego ducha znowu do tak szczęśliwej równowagi, składowych jego części że mógł służyć mi za pokarm na rozsądne i użyteczne życie. Na duchowym termometrze moim, wyobraźnia i marzenie opadały stopniowo coraz niżej, a natomiast podnosiła się rozważa i zamiłowanie rzeczywistości.

Stolica z tłumami wiecznie śpieszących ludzi, z kurzawą ulic i całym sztucznym blaskiem swoim, nie oddziaływała na mnie tak zdradziecko, jak poetyczne Ukrainskie równiny. Dziesięć lat już minęło od dnia gdy je opuściłem, czas biegł szybko i ja z nim szybko szedłem ku moim celom. Dążyłem do oczyszczenia w kraju skrzywionych przesądami pojęć o przemysle do rozszerzenia dróg i jakim on postępował — a dla siebie pragnąłem niezależności materialnej i zaszczytnej towarzyskiego położenia. Szczęście mi dopisywało wspomaganie wytrwałością moich usiłowań.

Z dyrektora jednej z największych fabryk stolicy, zostałem współnikiem jej właściciela, odbyłem kilka podróży zagranicę a z każdej z nich przywoziłem nowe wiadomości i pojęcia, które we własnym kraju wprowadzałem w praktykę, przez co zdobywałem pieniądze razem z szacunkiem ludzkim dla siebie, a ogółowi ułatwiałem drogi, po których z trudnością niestety, posuwa się przemysł krajowy. Po pięciu latach pobytu w stolicy, po raz pierwszy odwiedziłem dom ojcowski, w którym mieszkała Konstancja z mężem i dziećmi. Tak, owa swawolna, śpiewem i kwiatami żyjąca Kocia, była już matką, spotkała mnie gdy przyjechał do niej, z dwuletnim ślicznym chłopczykiem na ręku, a starsza nieco dziewczynka z ściągłymi rysami przypominająca Felicję, czepiała się jej sukni wołając.

— Mamo! puść mnie do wujcia! i ja chcę przywitać się z wujem!

Dziecię to pierwszy raz mnie widziało, ale imię moje często musiało słyszeć z ust matki i dziecka i wraz z innymi oczekiwało mego przybycia.

Konstancję znalazłem dobrą, miłą i kochającą jak dawniej, wesołość jej nawet nie zniknęła, a jednak znać było że i z niej także życie już związał pierwszy pyłek młodzięczy. Mąż jej nie był bogaty i ona niewiele miała, doświadczyli przytem klęsk i niepowodzeń gospodarskich, musieli więc podwoić pracy, i zabiegów aby utrzymać zwiększającą się rodzinę, i nie wpuścić w dom niedostatku. Trudniejszem to jeszcze było dla tego, że wszelkie niepomyślności najstarszanniej ukrywali przed ojcem, chcąc oszczędzić

mu troski i niepokoju, a otaczali go wszystkim co lubił i z najczulszą pielęgnowali miłością. Dawna więc poezja Koci opuściła kwiatki i gwiazdy, a spłynęła cała na ognisko domowe, którego troskliwie strzedz musiała, aby przy niem ojciec, mąż i dzieci znaleźli moralny spokój i materialny dostatek. Jak wprzód tak i teraz krzątała się ona po domu z uśmiechem i piosnką na ustach, ale zamiast o klombach kwiatowych, myślała o spiżarni, zamiast wieńców urządziła wyborne wędliny i sery, a zamiast bukietów przynosiła na stół świeże masło i wyborań do herbaty śmietankę. Drobną jej ręką zgrubiła nieco, a po ładnej zawsze twarzy przemycił się często cień poważnego zamyślenia. Wieczorami tylko gdy wszystkie sprawy dzienne pokończony były i dzieci spokojnie usnęły przeżegnane przez nią w kołyskach, siadała do fortepjanu, grała i śpiewała i zawsze świeżym swym głosem, przypominała mi dawną Kocię w habrowym wieńcu na głowie, uciekającą odemnie z koszykiem malin. A za tem wspomnieniem przychodziło inne, smętne, przezroczyście zjawisko z przeszłości, przed wyobraźnią moją stawała Ulana. Pięć lat minęło od rozstania się z nią mego, boleść miała czas drobnym pyłkiem osiąść na najgłębszym dnie mego serca. Wszakże — zdaje mi się że gdy Kocia zaśpiewała jakąś rzewną Ukrainką piosenkę — westchnąłem — czy ciężkie było to westchnienie, niepamiętam ale to wiem że długo wdychać nie miał już prawa, bo w owej porze byłem już... zaręczony.

Tak, byłem już wtedy zaręczony z panną Klotyldą B. z którą najzwyczajniej w świecie sposobem poznałem się na balu u bankiera Z. wówczas mego pryncypała a dziś współnika w przemysłowych przedsiębiorstwach. Więcej niż z bogatych splotów swoich jasnych włosów i białej twarzy, na której widoczna malowała się dobroć, Klotylda podobala mi się ze swego niepospolitego między kobietami wykształcenia. W parę więc dni po balu, według wszelkich reguł etykiety, we fraku i jasnych rękawiczkach złożyłem wizytę jej rodzicom, a po kilku miesiącach znajomości, oświadczyłem się o jej rękę i zostałem przyjęty. Z tego to właśnie powodu, jak też dla zadowolenia dawnych życzeń moich przyjechałem był do rodzinnego domu, aby na mający odbyć się w stolicy akt ślubny, wziąć błogosławieństwo ojca i dobre życzenie siostry. Wtedy to także ostatni raz widziałem panią Wincentową. Pocziwa starszka niepocieszona po stracie Felicji, zdzienniała trochę i jedynym jej zajęciem się oprócz modlitwy i pończoszki, było urządzenie przysmaków, którym hojnie darzyła domowych. Kiedyś odjeżdżał obsypany życzeniami i błogosławieństwem, pani Wincentowa przeżegnała mnie też w milczeniu, a gdy m po pożegnaniu całował jej rękę, wsunęła mi w dłoń dwie małe razem zwinęte karteczki. Zdziwiony rozwinąłem je i rzuciłem na nie okiem: jedna z nich była modlitwą do Aniołów Stróżów, druga przepisem urządzania doskonałych pierników. W dwa lata potem pani Wincentowa już nie żyła.

Ożeniłem się z Klotyldą i mam dobrą i rozumną żonę, która pojmuje i ceni mój zawód, podziela moje nadzieje a w pracy pomaga radą i słowami pojętej i oświeconej myśli. Przyniosła mi też ona w posagu niedaleko od stolicy położony młyn parowy, który zapisany jej został testamentem przez bezdzietnego bogatego stryja, zesłego ze świata w niespełna rok po naszym ślubie. Muszę sobie jednak odczuwać sprawiedliwość, że gdy m się żenił z Klotyldą nie wiedziałem o egzystencji bogatego stryja i młyna parowego, ale byłem pewny że biorę ubogą w pieniądze, lecz bogatą w moralne zalety kobietę. Ale gdy mi raz młyn ten się znalazł, nie gniewam się na los, który mnie zrobił jego właścicielem, bo jak mówi przysłowie: od przybytku głowa nie boli.

Co dla mnie tem większą prawdą jest teraz, gdy mam już dwoje dzieci, które mi dom napełniają ślicznym szezebiotem i obiecują niepospolite umysłowe zdolności. Przy znacznych środkach materialnych będę mógł zdolności te ukształcić i spotać w moich dzieciach tak, że one i dla nich samych i dla ogółu szczęśliwe i potężne przyniosą rezultaty.

Czuje się zupełnie zadowolonym, gdy po całodzienniej pracy wracam do domu i zasiadam u stołu z mianą żoną moją i pięknymi dziećmi. Po obiedzie w pełnym komfortu moim gabinecie spoczywam z cygarem i filiżanką wybornej Mokki, a Klotylda czyta mi na głos dzienniki. Potem rozprawiamy z sobą zawzięcie o polityce, a czasem i dysputujemy

¹⁾ Wielki Czwartek, Syrokomla.

nawet, bo w politycznych opiniach należymy do cokolwiek różnych odcieni. Nie stanowi to jednak między nami kapitalnej różnicy, owszem podwaja to żywość rozmowy i spotykana rozsądna opozycja, rozjaśnia nieraz wzajemnie nasze pojęcia.

Wieczorami kiedy nie mam pilnych zajęć i nie przyjmujemy gości, żona moja umiejętnie wykonuje przepyszną sonatę Beethowena albo smętnie souje Szopenowskie mazury; lubię także słuchać ją śpiewającą, szczególnie ulubione moje arje np. Czwartą z Cyrulika, Pieśń Pizia z Figara albo przedewszystkiem Walc z Fausta, który się jej wybornie udaje. Ponieważ oboje lubimy sztukę jako miłą niekiedy przyprawę życia, od dwóch lat utrzymujemy stały abonament łóż w dwóch Teatrach.

Tak płynie mi życie, jak w każdym życiu bywają w niem i troski, ale szala dobrego przeważa; praca moja trudna jest i ciągła, lecz obfita dla mnie i dla innych przynosząca owoce, a w zawodach koniecznych, w niepowodzeniach chwilowych, pocieszają mnie Bogi domowe.

Rok temu lub może trochę więcej, pewnego dnia w poobiedniej porze, gdy Klotylda skończywszy wspólne nasze czytanie dzienników, i pogawędziwszy ze mną chwilę, odeszła do swoich pokojów, a ja zasiadłszy nad biurkiem pograżyłem się w badaniu jakiejś zawilej przemysłowej kwestji, wszedł lokaj i oznajmił mi wizytę pana Edwarda L. owego mego kolegi z Lièges, któremu zawdzięczałem bytność w Horach. Od bardzo dawna nie widziałem Edwarda, bo mieszkał w swoich dobrach na Ukrainie i rzadko odwiedzał stolicę. Szczerze ucieszyłem się jego przybyciem, i po przywitaniu gwarzyliśmy z goździnę o tem i owem, o Ukrainie, Horach, panu Mieczysławie i jego żonie, o których powiedział mi Edward iż byli zawsze jednako zdrowi, weseli i zadowoleni z siebie i z całego świata, i że na rok przyszły mieli zamiar wysłać już najstarszego syna do Kijowskiego uniwersytetu.

— *A propos!* zawołał Edward stając przedemną, opowiadano mi o twojej romantyczno-sielankowej historii z jedną z robotnic Horeckiej fabryki. *Ma foi, mon cher!* mógłbyś służyć za wzór na jednego z bohaterów czułych utworów Floriana, a i nasz Zimorowicz gdyby był twym współczesnym, zdarłby z twojej osoby nie lada łup poetyczny, i ochrzcił by cię pewno, w której ze swych sielanek imieniem Dafnisa lub Mirona.

— Stare dzieje! odrzekłem śmiejąc się.
— Wiesz co koleżko, mówił dalej Edward, że gdybyś był francuzem śmiało mógłbyś stanąć w szeregu kandydatów do otrzymania nagrody Monthyon, oddawanej bohaterkiej enocie! kochać i być kochanym przez tak piękną choć wiejską dziewczynę i...

— Cóż wiesz o jej piękności? Przecież ją nie widziałeś! przerwałem.

— *Diable!* jakże miałem nie widzieć kiedy ona jest w Horach, gdzie en *qualité* rodzonego brata pana domu, bywam często.

— Jaktó! Ulana żyje? jest w Horach? zawołałem.
— Zepsuty jesteś światem, kochanku, z komiczną powagą rzekł Edward, kiedy tak mało troszczysz się o los dawnych oblubienic swego serca, że nawet nie wiesz czy żyją i gdzie egzystują! Ale jeśli tak jest mogę ci zrobić przysługę opowiedzeniem biografji owej Ulany od twego z Hor wyjazdu. Tylko...

Tu położył palec na ustach i pocichu zbliżywszy się do drzwi zajrzał ostrożnie do przyległego salonu.

— Co to jest? spytałem.

— Patrz, widzisz, czy twoja pani nas nie słyszy, bo może zazdrośna...

— O nie obawiaj się tego! zawołałem, moja żona zanadto jest rozsądna aby miała niepokoić się marami z mojej przeszłości.

— Kiedy tak, rzekł Edward siadając przy mnie, to mogę śmiało mówić i zaczynam. Kiedym w rok czy więcej po twym wyjeździe z Ukrainy do Hor przyjechał, byłem uderzony pięknoscią bladą i smutną dziewczyną, będącą pod wyłączną i wielce troskliwą opieką mojej bratowej, i tak sobie *en l'air* zapytałem: zkad była? jak dawno znajdowała się w Horach? etc.

Wtedy Mieczysławowie powiedzieli mi, że to ta twoja historyczna Ulana, a ponieważ przyznałem się do zupełnego ignorowania całej historii, o której czynił wzmiankę, otrzymałem od nich relację *comme me quoi* byłeś w niej szalenie rozkochany, *comme me quoi* usychałeś z miłości jak biblijny wróbel na dachu, *comme me quoi* chciałeś się z nią żenić i t. d. Po twoim wyjeździe bratowa moja tak napelniła sobie

głowę romantycznym losem dziewczyny, że nie odzyskała spokoju, aż z pomocą najrozmaitszych sposobów i starań odkryła jej schronienie, pojechała sama po nią, i zabrała ją z sobą do Hor. Pokazało się że biedna Ulana przestraszona owem okrutnem czarnem czółkiem, którem jej zagrożono, a tak kochająca ciebie i tak mimo prostoty swęj rozsądna, że nie chciała przyjąć twęj matrymonjalnej propozycji uciekła w świat, kędy oczy poniosły i oparła się aż w odległym jakimś futorze, gdzie została służącą futornika. W ucieczce tój wielce pomocny był jej jakiś robotnik z fabryki, Hryhory, chcący ją uratować od czarnego czółka — u jego to siostry ukrywała się ona przez cały czas najusilniejszych poszukiwań.

Bratowa moja zamierzała zrazu donieść ci o powrocie do Hor Ulany, ale Mieczysław bardzo rozumnie zdecydował, że ponieważ wiele czasu już upłynęło, byłeś wtedy już w stolicy i prawdopodobnie wybiłeś sobie z głowy sielski romans, lepiej było dla wspólnego waszego dobra, nie zawiadamiać cię wcale o losie Ulany i dać wam zupełną możność wzajemnego zapomnienia o sobie. Ulana przyjechała do Hor w wielce oplakany stan zdrowia, biedaczce zanosilo się podobno na suchoty, ale pocziwa Zofja jak zaczęła sprowadzać do niej doktorów ze wschodu i zachodu, północy i południa, jak zaczęła kurować ją wodami mineralnymi, mlekiem krowiem, koziem i niewiem już czem więcej — dziewczyna odzyskała siły, choć na zawsze została tak blada i delikatna że nieledwie przezroczyta. Następnie bratowa moja nauczyła ją czytać, pisać i uczyniła z niej przybochną swoją frejliną *vulgo* faworytą taką że bez niej i kroku nie stąpiła. Przez parę lat jednak, mimo wybornego położenia swego, Ulana była niezmiernie smutna, ale z czasem uspokoiła się, i lubo nigdy nie została tak wesołą, jak bywają ogólnie Ukrainkie dziewczęta, to i rozpaczy żadnej nie okazywała i często z przyjemnością słuchaliśmy siedząc na ganku, jak ona o zmroku w jakiejś odległej części parku śpiewała swoje proste piosenki. *Ma foi!* piękny ma głos, i gdyby się kształciła mogłaby zdobyć niejedną wokalną sławę, ale niepotrzebnie ci to mówię, bo zapewne lepiej znałeś jej głos od nas wszystkich.

— Teraz, mówił dalej Edward po chwili milczenia, w ciągu której zapalił sobie cygaro, teraz następuje finał mego opowiadania a tym razem koniec istotnie wieńczy dzieło. Przed trzema czy czterema laty Mieczysław sprowadził z Odessy ogrodnika młodego i dzielnego chłopca, bardzo biegłego w swoim zawodzie. Młodzieniec ten szalenie rozkochał się w smętnej dziewczynie, i w naturalnej tego konsekwencji, przedstawił jej zupełnie taką propozycję, jak ty niegdyś, to jest oświadczył życzenie pojęcia ją za małżonkę. Ulana wzdragała się czas jakiś, ale potem namawiana przez moją bratową, i jakąś tam serdeczną swoją przyjaciółkę, jeśli się nie mylę Maryjkę, która znajduje się także w Horach jako szczęśliwa żona tamecznego ekonomy, a może też tknięta siłą uczucia i stałością młodego ogrodnika oddała mu swą rękę. Bratowa moja wyprawiła w zamku huczne wesele z muzyką i tańcami i ja na niem byłem, miód, wino piłem etc. Tak tedy mój eks-Donkiszocie twoja Dulcyneja de Tobozo jest obecnie panią ogrodnikową w Horach.

Edward przestał mówić, a ja siedziałem zamyślony. Obrazek z męj przeszłości wdzięczny a szczytny ze wszystkimi barwami swemi stanął przed myślą moją, wspomnienia wprawiły w ruch pyłki staro-bólu, osiadłe na najgłębszem dnie mego serca, i rzekłem sam do siebie.

— Więc poszła za mąż?

Edward parsknął na te słowa głośnym śmiechem i stanąwszy przedemną w patetycznej postawie zadeklamował z amfazą.

— „Więc poszła za mąż, i co idzie zatem Pan Bóg dał dzieci, gospodarkę, zboże, Wszystko jak trzeba...
— „O Boże mój Boże!
Czemuż to życie nie jest poematem!“

Dokończyłem również poetycznie, poczem zaśmieliśmy się oba, i wzięwszy kapelusze wyszliśmy na miasto śpiesznie, bo dnia tego na giełdzie ruch był ogromny, papiery spadały przerażająco, przez dwa dni kurs ich zszedł z 97 na 93. Pośpieszaliśmy więc aby się pozbyć dółetów, mogących nas narazić na znaczne straty, a natomiast nabyć u robiącej

świetne interesa Dyrekcji żeglugi parowej, akcje które same jedne dotąd stały *al pari* i w minionym roku dały akcjonariuszom 9% dywidendy.

PRZEPAŚĆ.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH I JEDENASTU OBRAZACH

PRZEZ

KAROLA DICKENS'A

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

(Dalszy ciąg)

Akt I.

OBRAZ TRZECI.

Dziedziniec przy składzie kupców winnych, Ryszard May et Cnie. przy ulicy Wieżowej w Londynie. Na prawo kantor, na lewo dom mieszkalny z gankiem, pod którym znajdują się drzwi do piwnic. W głębi brama a w niej furka. Po sieni porozrucane różne przedmioty niezbędne do handlu win. Około kantoru stoi wielka beczka dnem odwrócona, na niej butelka i cztery kieliszki.

Scena I.

Ryszard May. — Doktor Payne. — Robotnicy i chłopcy sklepowi.

Za podniesieniem kurtyny, dwóch ludzi ciągnie wózek nalożony winem w butelkach. Na prawo robotnik myje butelki. Robotnicy ciągną wózek z winem po za biuro i tam z niego butelki wnoszą. Ryszard May stoi za kantorem i zapisuje w registrach liczbę i rodzaj wyładowanych kosztów. Doktor Payne siedzi przy beczce na której stoi butelka z winem, pije powoli smakując i czyta Times'a. Robotnicy rozchodzą się powoli.

MAY. Nie weźmiesz mi za złe, doktorze, że nie przerywam zajęcia, — interesa przedewszystkiem... Ach! biedna moja głowa, wciąż boli — w uszach tętni — gardło zasycha nieustannie. (Zdejmuje chustkę z szyi).

DOKTOR. Unikać wzruszeń i rozdrażnienia — nigdy nie przestanę tego powtarzać.

MAY, (zamyka księgę rachunkową). No! panie doktorze! co mówisz o tem winie? pochodzi z owego nieoszacowanego 1845 r.

DOKTOR. Wyborne.

MAY. Pan lubisz Porto.

DOKTOR (zartując). A gdzież jest na świecie doktor coby go nie lubił? Doskonałe wino. Wiesz pan co, na twojem miejscu nie szafowałbym niem tak hojnie, nie częstowałbym byle kogo, nawet swego doktora.

MAY (śmiejąc się). A! może ja chcę pana nabawić pedogry.

DOKTOR. Bah! to wino zna się na rzeczy, omija doktorów i tylko klientów nabawia pedogry... W każdym razie mijaj go pan zdaleka, bo choć u ciebie głowa tylko chora...

MAY (przerwijając). Tak, od stóp do głów to przecie dość długo do przebycia droga.

DOKTOR. Żart na stronę, nie zaniedbuj się pan, bo rzeczywiście jesteś chory, ten szum w głowie... (Zatrzymuje rękę Maya, który chce nalać sobie kieliszek wina) Co robisz! mógłbyś wywołać silniejsze uderzenie do głowy. (Nalewa sobie kieliszek wina i pije duszkiem). Umiarkowanie, umiarkowanie, panie May, jest to nieoceniona cnota, której nigdy ci dość zalecić nie mogę.

MAY. Cóż robić, muszę być posłusznym, biedna moja głowa... Ale co tam! i tak jestem niewymownie szczęśliwy, że mogę spełnić ostatnią wolę mojej ukochanej matki... Uregulowałem już interesa spadkowe, opłaciłem koszty...

DOKTOR. I to jeszcze nie targując się z adwokatem o honorarja. Można by myśleć że nie wiesz co robić z pieniędzmi.

MAY. Już to co prawda podano mi prawdziwie aptekarskie rachunki.

DOKTOR. No, no! proszę nie przymawiać aptekarzom, — odstępują nam przecie pewien procent.

MAY. Wiesz doktorze, że ukochana dobra matka moja, pragnęła tak gorąco szczęścia wszystkich co ją otaczali... było to jej ulubionym marzeniem... Otóż postanowiłem sobie urzeczywistnić je koniecznie, — a wiedząc że głowa moja nie bardzo silna, przypuściłem do współpracy Jerzego Leslie, który już dawniej prowadził interesy naszego domu, i podróżował w tym celu jako komissant, a obecnie odziedziczył dość znaczny majątek.

DOKTOR. Jerzy Leslie! — poczciwy chłopak, potomek znanego rodu — nie mam nic przeciw temu aby był twoim przyjacielem i współnikiem.

MAY. Matka moja zgromadzała w około siebie wszystkich domowników i uważała ich jakby członków rodziny, otóż postanowiłem wystarać się o taką gospodynię, coby umiała iść wskazanym przez nią śladem i tak urządzić dom, żebyśmy wszyscy, panowie, subiekci i chłopcy, zasiadali przy jednym wspólnym stole.

DOKTOR. Oto właśnie czytam ogłoszenie we wczorajszym *Timesie*. „Żądana jest zdolna gospodyni; zgłosić się przy ulicy wieżowej, Nr 50ty od dwunastej do 10ej rano. Dnia...“ a więc dziś właśnie.

MAY. Tak jest. (po chwili). Dobra, nieoceniona matka! przypominam sobie, jakby to było wczoraj, dzień w którym pierwszy raz ją ujrzałem. Było to w domu sierot, ona weszła do refektarza podczas obiadu; po chwili zbliżyła się do mnie, na jej twarzy żywe malowało się wzruszenie, i zapytała drżącym głosem: czy chciałbym opuścić zakład i zamieszkać w domu własnym, z matką, coby mnie bardzo kochała. Odgadujesz moją odpowiedź, doktorze. Uściskała mnie ze łzami w oczach, przeniosłem się do niej, a ona ukochana tajemnie przyznała mnie za syna. Odtąd nigdy nie rozłączaliśmy się już z sobą, dopóki nie nieszczęśliwa śmierć mi jej nie wydarła. Sześć miesięcy minęło od tej okropnej chwili... Wszystko co mam, co kiedykolwiek mieć będę zawdzięczam jej przywiązaniu. Nie jednokrotnie powtarzała mi, że synowska miłość moja wynagrodziła jej długie lata bezmiernego bólu i smutku, ale nigdy nie wymieniła mi nazwiska nieszczęśliwego, który jej tyle przyniósł cierpienia.

DOKTOR. Szlachetne serce! nie chciała aby był przedmiotem twój pogardy.

MAY (wskazując wewnątrz biórka). Patrz, doktorze, oto portret jej nad moim biurkiem.

DOKTOR. Bardzo podobny, doskonale trafiony.

MAY. Zdaje mi się że uśmiecha się do mnie. Ach! jeśli nie mogę już otaczać jej czcią i przywiązaniem, mogę przynajmniej dowiedzieć iż szczytę się ze jestem jej synem, i nie zapieram się iż byłem niegdyś tylko biednym sierotą. Nie mam ojca, ale domownicy i słudzy staną się moją rodziną... Żądam więc takiej gospodyni coby chciała i umiała dogodzić im wszystkim, pragnę aby współnik mój stał się dla nich bratem, i pomagał mi uczynić ich szczęśliwymi. Tak, potrafię wskrzesić te patryarchalne czasy w których tak silne węzły łączyły panów, czeladź i domowników, iż śmiało powiedzieć można, że jedną tworzyli rodzinę.

Scena 2.

Ciż, Sam wychodząc z piwnicy ze stoczkiem, który stawia na stole.

MAY do Sama. Czego chcesz, Samie.

SAM. Właśnie chciałem pomówić z panem o tej rodzinie...

DOKTOR (do Maya). Więc to jedno z dzieciątek składających nową pana rodzinę? (pokazując skórzany fartuch Sama). No, w każdym razie śliniaczek jego nie prędko się zniszczy, i nie wymaga zbyt częstego prania.

MAY (do Sam'a). Cóż cię skłoniło do opuszczenia twój nory, szczerze piwniczny?

SAM. Już to jak wiesz młody panie mój, mówię tylko od siebie i za siebie, bynajmniej nie mieszając się do innych. Jeśli już koniecznie chcesz mi pan dać stół i mieszkanie, to niechże już tak będzie... choć prawdę mówiąc stałe moje zamieszkanie jest w piwnicy... ale co się tyczy stołu, potrafię zająć przy nim miejsce równie jak każdy inny... i nie powstydę się za mój apetyt... nie chodzi mi bynajmniej o jakość ale o ilość.

DOKTOR. Natura ludzka jest jednaką we wszystkich stanach, mój poczciwco... Nie w tem rzecz co nam ofiarują, ale co zyskujemy.

SAM. Więc wszyscy mamy paść się u pańskiego stołu, trzech piwnicznych, subiekci, czterech uczeni,

chłopcy i posługacze... A czy i dzienni najemnicy wchodzi do tego kompletu?

MAY. A jakże.

SAM. Aha!..

MAY. Wszyscy razem utworzymy jedną rodzinę, i będziemy szczęśliwi.

SAM. Spodziewam się że będą szczęśliwi.

MAY. Jakto, będą?... dla czegoż nie mówisz „będziemy szczęśliwi.“

SAM. O! bo pod tym względem to już nie rachuj pan na mnie; mam usposobienie melancholiczne, zapleśniałem w piwnicy, gdzie nieustannie pochłaniam wyziewy porto. Szczęście! dobre to dla was coście nawykli pić wino powszechnie przyjętym zwyczajem, to jest przepuszczać go z wolna przez lejek waszego gardła. Wy panowie możecie być weseli i szczęśliwi, ale ja pochłaniam go tylko porami skóry, a wino używane w ten sposób, osłabia i wycieńcza. Każda spożyta przez was kropla wina, zaciera wam jedną zmarszczkę i uśmiechem stroi usta, ale spróbujcie tylko choćby połowę tej ilości wchłaniać w siebie porami, a niezadługo ujrzycie się w równie jak ja opłakanym stanie.

DOKTOR. No! w każdym razie nie pragnąłbym lepszego zdrowia jak twoje, i to nie dla moich pacjentów, ale dla mnie samego. (patrząc na zegarek) Otóż i dziesiąta dochodzi, gospodynie zaczyna się pewno schodzić, więc...

MAY. Jerzy obiecał mi rozmówić się z niemi, i odesła do mnie tylko taką co najzupełniej odpowie moim wymaganiom. (doktor wstaje) Odchodzisz już, doktorze?

DOKTOR. Mam kilku pacjentów odwiedzić, ale dziś jeszcze będę u pana. (Nalewa sobie kieliszek wina) Jeszcze ostatni kieliszek.

SAM. Przepuść go pan przez gardło, to najlepszy systemat. (Odprowadzając go) Do widzenia, panie doktorze, do widzenia, a nie zapomnij wrócić niezadługo. (Mówi tak dopóki doktor nie zniknął ze sceny).

Scena 3.

Sam, Ryszard May.

SAM. (do Ryszarda) Więc przybrałeś pan współnika? więc teraz pan Jerzy będzie współwłaścicielem tego składu?

MAY. Tak; czy masz co przeciw niemu?

SAM. Broń Boże! nawet bardzo lubię p. Jerzego tylko nie lubię zmieniać firmy domu. Co za potrzeba było wypisać „May et Cnie.“ zamiast pozostawić dawną firmę „Parkins i siostrzeńcy“ której szczęście sprzyjało niezachwianie. Żle, źle pan zrobiłeś, nie należało igrać ze szczęściem.

Scena 4.

Ciż. — Jerzy Leslie.

MAY. Jesteś przecie, kochany Jerzy.

JERZY, (stojąc nad schodami ganku). No! skończyłem już ciężkie zadanie z gospodyniami, stawił się cały legjon, a jedna od drugiej straszniejsza. Przecież nareszcie pojawiła się jedna miłej i ujmującej powierzchowności, która zdaje się odpowie twoim wymaganiom, nazywa się Sara Robson.

MAY. Robson! wszystko mi się zdaje że znam gdzieś to nazwisko.

JERZY. Tym lepiej, jeśli to jaka dawna znajomość (zwracając się ku wchodowi). Proszę pani tutaj; oto pan Ryszard May, (przechodzi do środka).

SARA. Ryszard May! (zstępuje po wschodach).

SAM (na stronie). Ma słuszną pan Jerzy, miła jakaś kobiecina.

JERZY (do Ryszarda). Bywaj zdrów Ryszardzie, idę do doków sprawdzić nasze transporty, gdybyś mnie zapotrzebował, wiesz gdzie będę, — do widzenia. (Wychodzi).

Scena 5.

Ryszard. — Sara. — Sam.

RYSZARD, (na stronie przyglądając się Sarze). Twarz jej nie jest mi obca; nie wiem tylko gdzie i kiedy ją widziałem.

SARA, (postępuje wolno i zatrzymuje się zamyśloną). Ryszard! Ryszard May! nie to niepodobna! Jest to nazwisko tak pospolite — w głowie mi się przewraca.

SAM (do Ryszarda). Zatrzymaj ją pan! zgodź się z nią koniecznie, jak świat długi, szeroki nie znajdziesz jej równiej — już ja to panu mówię... Czuję to, czuję przez wszystkie pory rozrzedzone wyziewa-

my wina... Co za pyszna postawa! Wchodzi tu zupełnie tak jak promień słońca przez okienko piwnicy, a taką jasność jakoś w koło siebie roztacza, że bez stoczka mogę zejść do piwnicy. To mi kobieta! (Schodzi do piwnicy)

Scena 6.

Ryszard — Sara.

RYSZARD. (do Sary) Chciój pani wejść do bióra.

SARA. (przychodząc do siebie i postępując dalej) Słuchaj panu. (Już ma wejść do bióra, w tem nagle zatrzymuje się wydając krzyk) Ach!

RYSZARD. Co to? co pani jest?

SARA. (zmieszana) Nic...

RYSZARD. Więc czemuż...

SARA. (przerwywając) Daruj pan... czy raczysz powiedzieć mi czyj jest ten portret wiszący tam nad biurkiem?

RYSZARD. To portret mojej matki. Ale cóż to? zdajesz mi się pani jakby przerażona czy zmieszana.

SARA. (do siebie) Jego matki! To portret tej damy, którą widziałam przed laty dwunastu. (Chce wychodzić.)

RYSZARD. Co to wszystko znaczy? co się pani stało?

SARA. Nic... nic... daruj pan że daremnie zajęłam mu czas... ja... sądzę... ja nie mogę przyjąć tego miejsca... (Zwraca się na lewo.)

RYSZARD. O! nie odchodź pani... widok twój dziwnie wzbudził we mnie wzruszenie... nazwisko nie jest mi obce... cała postać twoja tkwi mi w pamięci... Spójrz na mnie... Ach! przecież przypominam sobie. Jesteś jedną z dozorczyń domu sierot... Sara Robson! tak! ty to opiekowałaś się mną do dwunastego roku życia...

SARA. (na stronie) Co tu począć.

RYSZARD. Ty jesteś tą znaną, nieocenioną istotą, która przed laty wielu ulitowała się nad moją nieszczęśliwą matką!... Och! gdybyś wiedziała z jaką wdzięcznością zawsze wspominaliśmy cię! Wszystko ci jestem winien... ty w refektarzu dałaś mi poznać mój matce, ty zrobiłaś mi tem czem dziś jestem.

SARA. Tak, niestety!... Boże mi odpuść!

RYSZARD. Niestety!... Boże odpuść... co ty mówisz, Sara! (zaniepokojony) Co to ma znaczyć?

SARA. Uspokój się pan... (po chwili) Powiedziałeś pan przed chwilą że ta pani...

RYSZARD. (na stronie) Mówiąc o mojej matce, mówiła pani... (do Sary) Czemu mówiąc o matce mojej nie nazywałeś ją moją matką?

SARA. Ta pani powiedziała panu zapewne wszystko czego się dowiedziała odemnie — czy pamiętasz to pan dobrze?

RYSZARD. Mógłbym zapomnieć?

SARA. Jak w tej chwili mówię szczerą prawdę, tak i wówczas byłam pewną że się z nią nie mijam, ale jak pan dotąd nie wiesz o niczem, tak ja wtedy nie wiedziałam co miało miejsce w zakładzie pomocniczym, na prowincji. W sześć miesięcy po wysłaniu z Londynu dziecięcia, przybyła tam do zakładu jakaś zupełnie nieznana pani wdowa, nazwiskiem, Miller, okazała wymagane pozwolenie i oznajmiła że pragnie adoptować jakąś sierotę z zakładu. I wybrała właśnie to dziecko, przy którego chrzcie byłam obecną, dzieć tę pani której portret wisi nad biurkiem pana.

RYSZARD. Dla czego wyrażasz się tak niejasno? czemu nie mówisz po prostu że wybrała „mnie“?

SARA. Mówię że wybrała dzieć tę pani, — pan nie jesteś jej synem. (Ryszard okazuje niezmiernie wzruszenie) Dopiero w trzy tygodnie później zostałeś pan odesłany z Londynu do zakładu prowincjonalnego, i wtedy nadano ci toż samo nazwisko, jakie nosił pierwój ów chłopczyk adoptowany przez panią Miller. Po upływie trzech lat powrócono pana do centralnego zakładu londyńskiego, i zapisano do ksiąg miejscowych pod nazwiskiem Ryszarda May. Nie wiedząc o tem wszystkim, byłam przekonana iż pan jesteś tym samym dziećciem, przy którego chrzcie byłam obecną, i z czystym sumieniem wskazałam cię tej pani jako jej syna.

RYSZARD. (chwycając się) Co to? czy noc nadeszła, czy ja nie widzę nic w około siebie?... Ach! podaj mi rękę... nie wiem gdzie jestem... nogi uginają się podemną.

SARA. (bierze go pod rękę i podpierając prowadzi do fotela przy beczie, gdzie pierwój siedział doktor) Werspryj się pan na mnie; czy mam zawezwać pomocy?

RYSZARD. Nie! nie! nie odchodź odemnie... Zatrzy-

maj się!... pozwól mi przyjść do siebie... (prostując się nagle) Któż mi poręczy prawdziwość słów twoich?

SARA. W moim położeniu, czyż podobna przypuszczać abym śmiała... zresztą jakież cel miałabym kłamać?...

RYSZARD. Mój Boże! a ja tak ją kochałem, tak byłem pewny że jestem jej synem!

Wlepią oczy w portret, po chwili głowa jego opada, Sara podtrzymując opiera ją na swoim ramieniu.

SARA. O zostań pan tak, — ileż to razy małem dziecięciem zasypiałeś tak na moim ramieniu.

RYSZARD. Umarła na moim ręku i błogosławiła mnie tak jak tylko matka może błogosławić dziecię.

Ach! Saro, Saro, czemuż nie powiedziałaś tego przed jej.

SARA. Jakim sposobem. Dwa lata temu, gdy obowiązki moje w domu sierot stawały mi się za ciężkie, uwolniłam się z zakładu z zamiarem wejścia w prywatną służbę, ale postanowiłam wprzód odwiedzić przyjaciółkę będącą nadzorczynią w zakładzie pomocniczym prowincjonalnym, i tam dopiero dowiedziałam się o wszystkim. Mogłam wiedzieć gdzie szukać pana lub tej nieszczęśliwej pani?

Dziś, chciałam odejść, dla czegoż kazałeś mi pan pozostać, dla czego zmusiłeś abym wyjawiała co pragnęłam zataić przed tobą.

RYSZARD. Zataić!... Czyż mogłabyś przenieść na siebie żebym nie wiedząc o tem zajmował stanowisko i zatrzymywał majątek innego?... (przechodzi na lewo) Trzeba go odszukać... kto i gdzie jest ta kobieta co go adoptowała?

SARA. Wdowa, nazwiskiem Miller, — ale gdzie jest, trudno to wiedzieć — tyle tylko mi powiedziano że wraz z przybranem dziecięciem wyjechała do Szwajcarii.

RYSZARD. Do Szwajcarii!... Czy nie wiesz do jakiego kantonu?

SARA. Ani wówczas ani dziś nikt tego nie wie. Wchodzi doktor Payne.

Scena 7.

Ciż, doktor Payne.

DOKTÓR. (wchodząc) No cóż, znalazłeś pan gospodynię?

RYSZARD. Boże mój! Boże!

DOKTÓR. Co to jest?

RYSZARD. Jest... że... jest... (do Sary) Proszę, powiedz mi, ja nie mogę... nie umiem! (Podczas gdy Sara i doktor rozmawiają cicho, Ryszard przechodząc scenę mówi do siebie) Majątek i wszystko co posiadam zostawiła mi ona w przekonaniu że jestem jej synem... a ja nie jestem nim i najniewinniej przywłaszczyłem sobie majątek innego!... (do doktora) Trzeba koniecznie odszukać go, doktorze.

Doktor, odprowadzając Sarę do drzwi bióra.

Proszę chciej poczekać tu chwilę, chciałbym z nim pomówić.

Sara wchodzi do bióra.

Scena 8.

Doktor Payne. — Ryszard.

DOKTÓR. Zły interes, przykre wydarzenie! — ale zdaje mi się że Sara Robson nie złego nie zrobiła, trudno jej ganić...

RYSZARD. Ganić! Sara jest dobrą, uczciwą kobietą i pozostanie w moim domu. Ale nie o to chodzi, doktorze, trzeba koniecznie wynaleźć prawdziwego spadkobiercę.

DOKTÓR. Po upływie dwudziestu-czterech lat! trudne zadanie.

RYSZARD. Bądź co bądź, odszukać go trzeba.

DOK. Niewiem, czy się to da dokonać...

RYSZ. Czuję się mocno cierpiącym... O Boże mój! jeśli umrę nie doczekawszy tej chwili...

DOK. Za pozwoleniem, za pozwoleniem! bez tych niedorzeczności, jestem twoim doktorem i mam prawo dopominać się, abyś mi oie utrudniał kuracyi.

Scena 9.

Ciż. — Jerzy.

RYSZARD (do wchodzącego Jerzego). Ach! kochany Jerzy, dobrze żeś przyszedł, — gdybyś wiedział jak straszny cios mnie dotknął!...

Jerzy. Właśnie w tej chwili dowiedziałem się o wszystkim przychodząc podzielić twą boleść, pomóż mi, dopomóż jeśli można.

Rysz. O tak! przyjacielu pocieszaj mnie i dopomagaj... A! okropne położenie! zdaje mi się iż jestem jakby współnikiem oszukaństwa i że przywłaszczyłem sobie nie tylko majątek, ale i macierzyńskie przywiązanie tej ukochanej istoty. O! choćby tylko dla jej miłości i przez cześć dla jej pamięci, muszę powrócić odziedziczonej majątek, temu, do kogo słusznie należy.

Dok. Ale skądże go u licha weźmiesz? Panie Jerzy, jesteś rozumny i rozsądny, proszę powiedz sam czy to jest możliwe? Jeśli na przykład użyjemy zwykłego środka, i podamy do *Times'a* ogłoszenie „spadek do wzięcia“ to jedynym tego będzie następstwem że opadną nas włości i oszuści z całego królestwa. Już to konkurentów trudno będzie zliczyć, ale skąd wziąć dowodów?... Gdybyśmy nawet podzielali myśl tego tu obecnego, szlachetnego przyjaciela naszego, do czego bynajmniej się nie przyznaję, to jeszcze musimy uznać że restytucja ta jest niemożliwą. Zastanów się tylko Ryszardzie, a sam przyznasz że to jest przepaść bez wyjścia.

Jerzy. Wreszcie bardzo być może że człowiek ten umarł...

RYSZARD. Bardzo także być może że żyje. Mamy już jeden ślad, wiemy że za adoptowane dziecię zostało zawiezione do Szwajcarii... tam więc przedsięwzięcie należy pierwsze poszukiwania. (Zwracając się do portretu) O! bądź spokojna, matko ukochana! odzyskam twego syna, i jeśli nikt nie zechce mi dopomóc, sam pojedę do Szwajcarii, i muszę go wynaleść.

Scena 10.

Ciż. — Sam.

RYSZARD. (do Sama) Cóż tam znowu.

SAM. Pan jakiś zajechał powozem, czeka przed bramą i pragnie widzieć się z panem.

RYSZARD. Któż to jest?

SAM. Jakiś cudzoziemiec, oto jego bilet i list, który kazał oddać!

RYSZARD. (podając Jerzemu bilet i list) Mój drogi, przeczytaj i zobacz się z nim... jestem tak słaby, rozdrażniony, sam nie wiem co się ze mną dzieje...

Jerzy. (Czytając bilet wizytowy) Karol Szarlentag.

DOKTÓR. (patrząc mu przez ramię) Z Neufszatelu, ze Szwajcarii.

RYSZARD. Ze Szwajcarii! muszę się z nim widzieć!

DOKTÓR. Kto słyszał co chwila zmieniać zdanie, dopiero co chciałeś aby Jerzy go przyjął.

RYSZARD. Tak ale nieznamy ten przybywa ze Szwajcarii, kto wie... może zdoła wskazać nam ślad...

Jerzy (przezytawszy list). Znam pana Szarlentag'a, to mój dawny towarzysz podróży. Kiedy przed trzema laty przejechałem całą Szwajcarię, poszukując daremnie dowodów i szczegółów śmierci mego najlepszego ojca, który jak wam wiadomo zniknął gdzieś bez śladu, spotkaliśmy się w górach i podróżowaliśmy razem. List ten jest od naszego korespondenta Dufremier et C. kupców wina w Neufszatelu. Polecają nam pana Szarlentag'a jako swego agenta wierzytelniowego w Londynie, prosząc abyśmy go przyjęli jak przyjaciela, i odtąd już bezpośrednio z nim traktowali wszelkie nasze wspólne interesa.

RYSZARD. Dotąd nigdy nie wspominałeś mi o nim.

DOKTÓR. Ho! ho! rumienisz się coś mości Jerzy! fel do licha! zły symptomat. Czy i tobie krew zaczyna uderzać do głowy?

Jerzy (zmieszany) I, nie było o czem mówić. Pan Szarlentag podróżował wówczas w towarzystwie młodej pani...
DOKTÓR. Aj! aj! symptomata się uwydatniają.

RYSZARD. Była to zapewne jego córka.

Jerzy. Nie! p. Szarlentag jest prawie w twoim wieku.

Rysz. W moim wieku!.

Dok. Więc owa młoda pani...
Jerzy. P. Szarlentag jest jej opiekunem. Podczas tej podróży...

Dok. Zakochałeś się w dziewczynie... Pozwól no, niech zobaczą puls.

Jerzy. Dobrze, dobrze, a nie dość na tem ułatwi ci rozpoznanie choroby. Otóż pokochałem ją, kocham i całe życie kochać będę... Czy dostatecznie poznałeś chorobę i czy masz na nią lekarstwo?

Dok. Mam, — ale może gorsze od choroby.

Rysz. Wszystko to nie objaśnia dla czego nigdy nie mówiłeś mi o tem.

Jerzy. Skoro nadeszła godzina zwierzeń, to wyznam już całą prawdę... Byłem wówczas bardzo mło-

dy, próżny i chełpliwy jak wszyscy komissanci; chcąc prędko zyskać względy ślicznej Margaryty, postanowiłem ją olśnić znakomitością rodu i wysokiem stanowiskiem społecznem i w tym celu plotłem nie stworzone brednie, na których wspomnienie rumieniec wstydu oblewa mi czoło... Przybycie p. Szarlentaga przywiodło mi na pamięć ten wybryk niedowarzonego wówczas młokosa i zawstydzilem się sam przed sobą.

Rysz. Może nie chcesz się z nim widzieć?

Jerzy. Przeciwnie — najpierw zachodzi tu kwestja interesu, a po tem mam sobie za obowiązek przyznać się do winy i zasłużyć tym sposobem na przebaczenie.

Rysz. (do Sama). Więc prosz pana Szarlentag'a.

(Sam idzie otworzyć drzwi wchodowe).

scena 11.

Ciż. — Szarlentag.

SZARLENTAG (podchodząc) P. Ryszard May.

RYSZARD. Do usług pana. Wręczony nam list polecający, zapewnia panu u nas najserdeczniejsze przyjęcie (przedstawia mu doktora). Mój doktor i przyjaciel, doktor Payne.

SZARLENTAG. Cieszę się nieskończenie iż mam sposobność poznać doktora Payne (do doktora) sławnego doktora Payne. Panie, mam sobie za największy zaszczyt że mogę uściskać dłoń jego.

DOKTÓR. (do siebie). Za grzeczny! to mi się nie podoba.

RYSZARD. (przedstawiając Jerzego). Pan Jerzy Leslie, mój współnik.

SZARLENTAG. (przechodzi i zbliża się do Jerzego). Ach! ach! mój dawny towarzysz podróży, — stara znajomość. Sir Jerzy Leslie! jakże się pan miewasz? bardzo się cieszę... Zamiast uścisku, bierze Jerzego za łokieć.

Jerzy. Nie spodziewałeś się pan zapewne spotkać się tu ze mną jako współnikiem tego domu.

SZARLENTAG. Daruj pan, już w Neufszatelu wiedziałem że pan zostałeś współnikiem pana May. Z resztą przypomnij sobie pan co powiedziałem tam w górach, gdy pan podziwiałeś ich wysokość. Wydaje się to panu czemś wielkiem, mówiłem, a jednak świat jest tak mały, iż jedne i te same osoby, chcąc nie chcąc, nieustannie spotykają i ścierają się z sobą. Nie mówię tego bynajmniej dla tego, aby to spotkanie z panem nie było dla mnie jak najprzyjemniejszym, jak najpożądańszem!.. przeciwnie cieszę się tem nieskończenie, nieskończenie... Znowu bierze go za łokieć.

DOKTÓR. (na str.) Szczególniejszy sposób okazywania zadowolenia!

RYSZARD. Co mówisz, doktorze?

DOKTÓR. Nic, nic, — cieszę się nieskończenie, nieskończenie, że pan Szarlentag taki zadowolniony.

SZARLENTAG. Doprawdy pojąć nie mogę, pan, sir Jerzy Leslie, potomek tak znakomitego rodu, w nieograniczonej wspaniałości swojej, raczyłeś uczynić handlowi tak niewystawionemu zaszczyt iż zostałeś kupcem win! To rzecz niesłychana! Ale chciejcie mnie panowie objaśnić, czy w Anglii sprzedaż win uważa się za handel, za powołanie lub może liczy się do sztuk pięknych?

Jerzy. Panie Szarlentag, kiedy przed kilku laty spotkaliśmy się w górach Szwajcarii, byłem jeszcze bardzo młody, i właśnie tylko co doszedłszy do pełnoletności, objąłem pozostały po matce majątek... Zdało mi się że świat do mnie należy, — słowem byłem zbyt dziecinnie młody, ale wypłaciłem też wtedy dług młodości, niezadługo nabrałem doświadczenia i na zawsze rozstałem się z ówczesną śmiesznością.

SZARLENTAG. Śmiesznością! cóż znowu, jak możesz pan tak mówić! Ja nieskończenie wdzięczny panu jestem za to ustępstwo tak podnoszące handel, którego główną wadą zbytnia pospolitość. Ot pierwszy lepszy włóczęga, prostak, jak ja na przykład może się go chwycić, i z jego pomocą wynieść się Bóg wie jak wysoko... Wszak tak, panie May. (zwracając się do Payne'a) Wszak tak panie... panie...

DOKTÓR. Payne, doktor Payne.

SZARLENTAG. Tak więc, panie doktorze, mogę pochłubić się prawdziwie angielską cnotą, — szczerością, i dla tego wynaję otwarcie że pochodzę z bardzo niskiego stanu, a o ile mogę wnosić, może i nie mam żadnego.

RYSZARD (do Payne'a). Czy słyszysz, doktorze?

DOKTÓR. Jestem doktorem medycyny i dla tego nigdy nie słucham szarlantanów.

JERZY. Czy pozwolisz pan zapytać się o zdrowie panny Margarity?

SZARLENTAG. (poważnie) Miło mi poznać panu że panna Margarita ma się jak najlepiej (pije podany sobie kieliszek wina).

DOKTÓR. (do Szarlentag'a). Zdajesz mi się zbyt młodym, panie... panie...

SZARLENTAG. Szarlentag.

DOKTÓR. A więc, panie Szarlentag, wydajesz się za młodym na opiekuna młodej panny.

SZARLENTAG. Jestem młody wiekiem, ale stary doświadczeniem i przezornością. Ojciec młodej dziewczyny, którą miałem zaszczyt wychować i dziś być opiekunem, równie jak ja z niskiego pochodził stanu, znał on mnie od dzieciństwa i widział jak uczciwie i mozolnie posuwałem się własnymi siłami, stawiając krok za krokiem na ciężkiej drodze, i bez niczyjej pomocy i opieki wyrobiłem sobie niezależne stanowisko. I on także równie ciężko przechodził koleje, byliśmy więc braćmi pracy i trudu. Z licznej rodziny on jeden pozostał, żył smutny i samotny i nareszcie umarł zostawiając swój jedyną córkę, szczupłą bardzo, w krwawym pocie zapracowanej mająteczek. Przed śmiercią przywołał mnie do siebie, powierzył córkę mej opiece, i umarł spokojny, bo wiedział że nie zawiodę jego zaufania. Ach! panowie nie jestem pewny mego pochodzenia, nie wiem nawet czy ci co uchodzili za moich rodziców byli niemi rzeczywiście, ale za to śmiało ręczyć mogę że poświęcenie moje dla Margarity nie zna końca ani granic, że zawsze najtroskliwiej czuwać nad nią będę, i że duszą i ciałem jestem jej oddany.

RYSZARD. (na stronie do doktora) Jest w moim wieku, nie jest pewny swego pochodzenia, wątpi nawet czy rodzice jego rzeczywiście byli jego rodzicami... Cóż myślisz o tem doktorze?

DOKTÓR. Że nie ma mu czego zazdrościć.

JERZY. (do Szarlentag'a) Czy panna Margarita pozostała w Szwajcarii?

SZARLENTAG. (wskazując głąb sceny) Panna Margarita jest tu wraz z swą nieocenioną panią Dor.

JERZY. Tu?

SZARLENTAG. Zostały w powozie.

RYSZARD. Jaktó! te panie czekają na ulicy... chciałby pan prosić aby raczyły zaszczyścić nas swoją obecnością.

JERZY. Idę sam...

SZARLENTAG. (zastępując mu drogę) O! nigdy w świecie nie pozwolę na to... abyś się pan miał trudzić. (wychodzi).

JERZY. (na stronie) Czy aby nie zapomniała o mnie?

RYSZARD. (do doktora) Wyraźnie jest coś opatrnościowego w pojawieniu się tego człowieka, właśnie w chwili...

DOKTÓR. Dobrze, dobrze! więc dozwól Opatrzności dokończyć co rozpoczęła, sam zaś chciej posłuchać mojej rady, i gdy p. Szarlentag powróci...

RYSZARD. Więc.

DOKTÓR. Siedź cicho i nie wygadaj się z czemś niepotrzebnem.

Szarlentag wchodzi wprowadzając Małgorzatę; pani Dor idzie za nim, — ma na ręku rękawiczkę i wyciera ją gumką... Czy stoi czy siedzi zawsze obrócona jest plecami do otaczających ją osób.

scena 12.

Ciż, Margarita, Pani Dor.

SZARLENTAG. (do Ryszarda i doktora, przedstawiając Margaritę) Panna Margarita, moja pupilka.

Ryszard i doktor kłaniają się Margaricie — ona postrzegłszy Jerzego nie ukrywa przyjemnego wrażenia, powstrzymuje się jednak zobaczywszy że Szarlentag patrzy na nią. Margarita i Jerzy rozmawiają po cichu, podczas gdy Szarlentag komicznie wprowadza p. Dor.

SZARLENTAG. (przedstawiając) Pani Dor, anioł opiekunicy moich rękawiczek i skarpetek.

P. Dor kłania się bokiem Ryszardowi i doktorowi, poczem opada na ławkę, plecami obrócona do wszystkich i wyciera rękawiczki. Szarlentag mówi dalej.

W Anglii panuje dziwne zamiłowanie do wszelkich szczegółów gospodarskich, przedstawiać je panowie na scenie, opisuć je w romansach, odtwarzać w obrazach. (pokazując panią Dor) Uwielbiają więc w pani Dor żywe uosobienie przymiotów gospodarskich. Obecnie czyści mi rękawiczki, potem weźmie się do cerowania pończoch, a następnie włożywszy po łokcie ręce w mąkę, będzie mi przyrządzać ulubione, ciężkie, niestrawne puddingi angielskie...

Zapewnie podziwiacie panowie jej szerokie ramiona, otóż mam zaszczyt oznajmić, że niezwyklej wielkości ta przestrzeń zaledwie może pomieścić jej wielkie serce.

MARGARITA (na prosceniu do Jerzego). Więc zachowałeś pan w pamięci nasze piękne jeziora i góry?

JERZY. A pani, czy nie zapomniałaś owych błogich chwil spędzonych razem?

MARGARITA. O pamiętam...

SZARLENTAG (stojąc pomiędzy niemi, do Margarity, widząc jej wzruszenie). Widzę jesteś bardzo strudzona podróżą... żłem zrobił żem cię tu przyprowadził... (Margarita robi ruch przeczący). Przeczysz mi! o! znam twoją dobroć, wiem dobrze że nie powiesz, nie przyznasz niczego co by mogło mnie zmartwić lub zasmucić.

Margarita idzie do p. Dor, Ryszard i Doktor przybliżają się do nich i zaczynają rozmawiać. — Szarlentag nagle zwraca się do Jerzego.

SZARLENTAG. Chciałbym urządzić Margaricie godne jej mieszkanie... nie wiem jeszcze skąd wezmę pieniędzy, ale jakoś się to załatwi... Powiedz mi pan czy duch handlu tak przeważnie panujący w Anglii, dozwala wam pojąć że człowiek może wszystko poświęcić dla idei?.. Nie, wszak prawda?.. Wy, bogaci Angliacy, jesteście w ogóle tak dobrze wychowywani, szczęśliwi, pewni powodzenia, ja wychowałem się z bydlęm w oborze, a bogactwa szukałem na gościńcach, gdzie bosi i obdarty żebrałem jałmużny... Was rodzice pieścili, ceckali, każdy wasz uścisk, każdy pocałunek wynagradzali cukierkami i łakociami... mnie, gdy głodny i zziębnięty wołałem o kawałek chleba, rodzice, czy tam podający się za nich, rzucali kij i torbę i kazali żebrać po drogach... Nie ma co mówić, rozkosznie spędziłem młodzieńcze lata... Oj! przeklęta Szwajcarya!

MARGARITA (przysuwając się). O! ja kocham mój kraj rodzinny!

SZARLENTAG (do Margarity). Rozdrażniły cię moje słowa... może się gniewasz na mnie?.. nie zapominaj że mówię to w dumnym Albionie.

MARGARITA. Nigdy i nigdzie nie zapomnę wrodzonej dumy... chlubię się że jestem Szwajcarką, — nie wstydzę się wyznać, że jestem córką prostego wieśniaka.

JERZY (do Margarity). Piękne te słowa dowodzą wzniosłości serca pani.

SZARLENTAG (do Margarity). No, pożegnaj się Margarito... (do p. Dor). Gotuj się pani w drogę... p. Dor przechodzi do środka.

JERZY (do Margarity) Wszak będziem się często widywać?

MARGARITA. Będzie to zależeć od mego opiekuna.

(Podczas tej rozmowy Ryszard May chce koniecznie zbliżyć się do Szarlentag'a aby z nim pomówić, doktor Payne wstrzymuje go nie chcąc aby mówił.

RYSZARD. Panie Szarlentag.

DOKTÓR. Cicho pan bądź.

SZARLENTAG. (podając rękę Margaricie). Panie May panie Leslie, stokrotne dzięki za tak uprzejme przyjęcie. (Wesoło do Margarity). Teraz, moja droga, będziemy szukać pomieszkania chociażbym je urządzić ci tak miłe i wygodne jak tylko na to, komfort angielski zdobyć się może (do mężczyzn) Panowie, mam nadzieję że obok stosunków handlowych, łączycie nas będą stosunki ścisłej przyjaźni.

Kłania się i wychodzi z Margaritą, pani Dor idzie za niemi.

JERZY. (n: str.) Zaczny człowiek... pełen poświęcenia dla Margarity.

DOKTÓR. (n: str.). Może się mylę, ale zdaje mi się że to lotr co się zowie.

RYSZARD. A! może to będzie ten którego tak pragnę znaleźć!

Podczas tego Szarlentag odprowadziwszy do powozu Margaritę i p. Dor, — kłania się zgromadzonym.

(d. c. n.)

POGADANKA TYGODNIOWA.

Za kilka dni cały świat chrześcijański, obchodząc będzie wigilją narodzin Chrystusa, owę chwilę uroczystą, w której światło Boże zabłyśło, aby rozproszyc ciemności ludzkości przygniatąjącej. W dniu tym zarówno po wsiach, jak miastach wszystko przy-

biera godowe szaty, jakby chciało pokazać, że jest w przeddniu świętej pamiętki, owę wielką radość co łzom niedoli kazała oschnąć, a duchowi żyć nowym życiem, wplatając w ciernie jego niewiedzące nigdy kwiaty nadziei. I świat podniósł się jak olbrzym, pleśń wieków otrząsnął ze swoich ramion, a z pod tej rozdartej słowem Bożem osłony wypogodziły się czoła, wyciągnęły ręce przykute do ziemi, i westchnienie ulgi wzbilo się ku górze, szukając dla myśli nowych zdobyczy w krainach dotąd dla niej nieprzystępnych. Nie też dziwnego że pamiętkę tego odrodzenia, świat chrześcijański obchodzi ze czcią przynależną jej wielkości: za nadto jej wiele winien aby miał zapomnieć, choć obrachunek trudny i mozolny, choć manowców pełno w takich się płacze i błąka.

Dotąd opłatek obrazujący ogólne braterstwo znajduje się w powszechnem użyciu, ale znikło siano podścielające godową ucztę o zmkroku, znikły jasełka z oktarzy kościelnych, a miejsce szopek z leżącym w żłobku Chrystusem, zastąpiły choinki ustrojone przysmaczkami, jako dary dla drobnej dziatwy. Dawniej po wieczery w wigilją, dziatwa ta ze skupionemi główkami jak ptaszki, zasiadała przed szopką i cienkimi głoskami zawodziła pieśni o Bożem Narodzeniu, do których niewyczerpanego materiału dostarczały znane wszystkim kancyczki. Cieszyło ich wszystko, stajenka, żłobek z dzieciątkiem Jezus, trzej królowie, pasterze, żołnierze uzbrojeni w halabardy, nawet wół i osioł z mordami ku sianu zwróconymi, a gdy zapalono świeczki i wewnątrz szopki obrzuciło światło uwydatniając w niej pomieszczone szczegóły, radość dziecin nie miała granic, każda twarzyczka świeciła weselem hamowanem jednak uroczystością chwili, jakby rozumiały że zabawa jakiej doznają nie jest zwyczajną, że mogą się nią cieszyć, ale w przynależnem poszanowaniu. Że zapomniano kancyczek, że wygnano jasełka ze Świątyni, nie na tem nie straciliśmy owszem było to koniecznem, ale żal mi tej szopki, żal mi tej serdecznej dziecin radości jaką w nich obudzała, choć nie darzyła żadnym przysmaczkiem tak chciwie przez nie pożądanym. Choinka nigdy tego nie zastąpi, przystój jej rozlakamnia a nie rzuca żadnego w serce dzieci, choćby najdrobniejszego nasionka, co by rosnać razem z niem stało się z czasem fundamentem moralnej budowy.

Dawniej dziewczęta wiejskie w rachubie kołków płotnych szukały przepowiedni co do za mąż pójdą; z echa dowiadywały się o stronie w której zamieszkuje przyszyły ich narzeczony: po miastach pytały się pierwszego spotkanego przechodnia o imie chrzestne, które miało być mianem spodziewanego przez nie męża, dziś wiara w te prognostyki zginęła, zwyczaj upadł i nie żal mi tego, ale żal mi prostoty która mu życie nadała, żal mi tej minionej naiwności co go przez tak długie wieki z pokolenia na pokolenie przenosiła. Wprawdzie wszystko się na świecie zmienia, zmieniają ludzie i obyczaje, pojęcia, wyobrażenia, czy jednak w dziejowym postępie nie szcząc formy przyjęte dla pewnych myśli, wprowadzamy je w jaśniejszej barwie w dziedzinę praktycznego zastosowania?

Na zapytaniu tem zatrzymuję się; pióro pochopne do bocianich szperach w kniei ludzkiego żywota, mogłoby zakłócić ostatnie chwile bieżącego roku, tak obfitego w nadzwyczajności. Zapadały się w miasta, występowały morza, trzęsły się całe obszary, góry ogniem zionęły, przewracały wiekowe wieże, i w połowie Grudnia przy jedenastu stopniach ciepła, przebiegały burze z piorunami i ulewnym deszczem, jakby wśród lata najupalniejszego. Ogród Saski z równem wystąpił dziwem, bo ze świeżym pokosem siana, które zgrabione na kupki jeszcze w dniu 12 b: m: leżało na trawniku.

Koncerta dalej idą nieprzerwanym ciągiem, a jeden z nich jutro ma się odbyć na korzyść Towarzystwa podupadłych artystów. Zapowiadają nadto koncert dla pozostałej rodziny po Mściślawie Kamińskim biednym pracownikowi pióra który całą duszą służąc społeczności, własne dziatki pozostawił bez chleba. Ma także odbyć się koncert na dochód młodego Ludomira Benedyktowicza bez rękięgo, obecnie w Monachjum przebywającego dla nauki malarstwa do którego posiada szczególne zamiłowanie. Talent to niezaprzeczone, czego świat nie niedawno złożył dowody, przez dostanie się do Akademji nie odmykającej się nigdy dla mierności.

Dla wykształcenia się w rysunku pisze w ostatnim swym liście, i nabycia pierwszych zasad olejnego malowania, pracuję w sali antyków, należącej do

które spadały jedna nad drugą. Pierwsza w górę tworzyła epolet — ostatnia zachodziła na rękę tworząc mankiet. Nad każdą falbanką szła plisa z materji jak sukna. Szarfa przewiązana w tyle, zakończona koronką dopełniała całości tego pięknego ubrania.

Z kostiumów przeznaczonych do wyjścia na ulicę uważaliśmy bardzo ładny, z tkaniny wełnianej w kolorze ciemno fioletowym. U dołu szła falbanka wązka na pół ćwierci, fałdowana w odstępach z wypuszczoną do góry główką, którą oddzielała pliska atlasowa czarna z wypustką fioletową. Druga także sama falbanka dana o pół łokcia wyżej nad pierwszą, oznaczająca jakby tunikę. Falbanka ta zawracała się po bokach do góry, i dochodziła aż do stanika. Cały przód między jedną a drugą falbanką, naszyty był w drabinkę atlasowemi pliskami czarnemi, z wypustką fioletową.

Stanik gładki miał małą pelerynkę w formie chusteczki, zakończoną falbanką; pelerynka ta szła tylko od ramion do przodu stanika.

Wogólności falbanki bardzo do wszystkiego używane. Widzieliśmy ładne kaftaniczki do pokoju z sukienka w kolorze białym, pasowym, niebieskim i fioletowym, ogarniowane także falbanką wystrzyganą w maszynie. Forma ich tem się odznacza że z przodu i w tyle przedłużone wąż podcięte zaś po bokach. U szyi naszyta również sukienka ruszka, na plecach w samej górze wielka rozeta z takiej że ruszki.

Kapelusze tegoroczne podniesione w górę lepiej przypadają do twarzy od płaskich. Szarfy aksamitne do spięcia pod brodą, utrzymały się jeszcze w tym roku. Dzisiejszy zwyczajny kapelusik składa się po prostu, z buffy aksamitnej podniesionej nad czołem, podpiętej kwiatem atlasowym albo piórem, i z szarf aksamitnych, podbitych atlasem, ogarniowanych koronką — spiętych na atlasową rozetkę. Na wizyty dla młodych pań, przyjęte powszechnie aksamitne toczi, przybrane egretką, ptaszkiem, fantastycznym piórem, albo kwiatem odpowiednim do koloru sukni.

Motyle i różnobarwne muszki używane też są do przystrojenia kapeluszy.

S. z Ż. D.

Nowości zagraniczne.

Petit courier des dames. Na zbliżający się karnawał — kwiaciarki paryżkie przygotowują mnóstwo girland i bukietów do podpinania lekkich sukien. Do nowości tegoczesnych należą — girlandki czyli treny, przeciągnięte jak szarfa przez stanik, z długo spadającymi na tył końcami. Inne znów girlandki, otaczają szyję, dalej przechodzą ukośno od lewego ramienia do stanu, okrążają w około stan, i podpinają suknie z prawego boku. Te ostatnie zowią *Fontange*.

Dla młodych pań przyjęte naszyjniki, kolczyki i bransoletki z drobnych kwiatków.

Do ubrania sukien balowych, bardzo używane wszelkie rodzaje trawy i wodnych liści. Moda wymyśliła także fantastyczne ubrania, naśladujące skrzydełka chrząszczyków lub muszek; przystrajają niemi tak suknie jak i kapelusze. Odznaczała się oryginalnością i gustem, toaleta młodej księżnej... w Compiègne. Była to suknia z tiulu jedwabnego w kolorze perłowym, na takiejże atlasowej. Długie wieńce ze skrzydełek motyli, muszek wodnych, podpiwały suknię. Skrzydełka te potrząśnięte błyszczącym piaskiem, świeciły jak rubiny, szmaragdy i djamenty. Djałem z odpowiednich kamieni stanowił główną ozdobę włosów.

Les modes Parisiennes. Suknie i kostiumy dzisiejsze, podpinane w festony, wymagają wielkiej ilości frendzli i ozdób szmuklerskich. Widzimy w tym względzie większą niż kiedykolwiek rozmaitość. Najmodniejsza frendzla, przybrana była baryłkami atlasowemi (*olivettes*). Nad frendzlą idzie torsada kordonkowa.

Na zimne dni, używane bardzo fanszoniki z cienkiej szafirowej wełny, objęte puszkami łabędzim.

Szarfy szkockie w kratę, lub inne w atlasowe paski przyjęte do częstego ubrania. Wszystkie spina-

ją się w tyle — cztery spadające pukle długie i szerokie, tworzą jakby baskinę — końce spadają nie zbyt długo.

Do sukien białych, na wieczory, używane szarfy w jednym kolorze, naszyte osobnym wypukłym haftem, — ogarniowane koronką.

Dla młodych dziewczynek, uważaliśmy ładne sukienki popielinowe popielate, przybrane u dołu trzema plisami ze szkockiej materji w żywych kolorach. Stanik do tego w kratę, z taką samą szarfą spadającą na tył sukienki. Z pod wyciętego staniczka, wygląda biała koszulka muszlinowa.

Kostium chłopczyków na ulicę, najmodniejszy z sukna w kolorze stalowym. Paletocik obłożony wydrą, majtki krótkie do kolan — buty wysokie — czapeczka także stalowa obłożona futerkiem.

O ubiorach dla mężczyzn.

Pora jesienna tak się u nas łączy z zimową, że w jesieni mamy zimowe mrozy, a w zimie deszcz i temperaturę jesienną, dla tego w ubieraniu się ze względu na zdrowie wielką oględność zachować należy. Pomijając jednak ów wzgląd higieniczny, jako nie wchodzący w zakres naszego pisma, zwracamy uwagę tylko na stronę estetyczną, a mówiąc otwarcie na modę, jaka dziś przeważnie panuje w ubraniu mężczyzn.

Naturalnie stosujemy się głównie do mód paryskich, taksamo jak Berlin, Wiedeń, Londyn, a nawet Ameryka do nich się stosuje. Świeżo nadeszłe paryskie żurnale porównawszy z niektórymi modyfikacjami, jakich sobie miejscowi krawcy pozwalają, ze względu na miejscowe wymagania, podajemy ogólne wiadomości dotyczące ubrania męzkiego na obecną i nadchodzącą porę.

Zaczynamy od wierzchniego, najpotrzebniejszego ubrania od *Paltotów*. Wyrabiają się one z syberyjny w różnych mieszanych kolorach, czyli jak się zwykle mówi w kolorze *mélange*. Najmodniejsze materiały na paltoty noszą nazwy: *Yeddo, Coating, Ratine, Orpheus, Palermo i t. d.* Krój pozostał prawie ten sam, co w zeszłym roku, z tą tylko różnicą, że zwykle palta obszywają się szerokimi grubemi taśmami. Kołnierz daje się aksamitny kolorem zastosowany do koloru paltota.

Jako ubranie wizytowe służą obecnie *surduciki*, krótko krajane, obcisłe w stanie, zapinają się na dwa rzędy guzików, i tak samo jak paltoty obszywają taśmami. Pantalony do tego ubrania średniej są szerokości, w kolanach wcięte. Kolory kurtów używanych na pantalony w różnych są kolorach, ale zawsze w paski podłużne lub ukośne z szerokimi po bokach lampasami. Tu należą *kamizelki* jednorzędne, pod szyję zapinające się, lub dwurzędne z kłapami u góry. Kamizelki takie robią się zwykle z angielskich aksamitów lub francuzkich kaszmirów. Co zaś do materiałów na same *surduciki*, inaczey żakietami zwane, biorą się *gros grain bleu*, lub *Hudson* dalej *Monitor, Peau d'ours, Jonson* i t. d.

Fraki na zbliżający się karnawał będą wykładane, z kłapami naszywanymi jedwabnym rypsem lub innymi grubemi materjami jedwabnymi. Kołnierze wąskie; rękawy węższe od dotychczasowych, z mankietami spiętymi na jeden guzik. *Kamizelki* do fraka otwarte, z podkładami pod wykrojem czyli kołnierzem, w kolorze: białym, niebieskim lub ponsowym. Pantalony czarne, wąskiego kroju.

Na zwykłe ubranie noszą i teraz negliżowe *marrynarki*; robią się z tych samych materiałów, co paletoty. Krój ich obecny jest więcej wcięty, przystający do figury. Zapinają się na dwa rzędy guzików i obszywają taśmami.

Prócz tego zaczynają obecnie wchodzić za granicę w modę okrycia tak zwane: *Manteaux à la renaissance*. Mają one krój podobny do noszonych dawniej *Raglanów*, tylko rękawy mają innego kroju i w ogóle różnią się całą szerokością sukni. Obkładają się zwykle cienkiem futrem, jak sobolami, norkami, lub barankami.

Nadto, za granicę spostrzegać się jeszcze dają innego rodzaju okrycia, są to płaszcze, a raczej peleryny hiszpańskiego kroju. Podszewają je zwykle

bogatą jedwabną podszewką i dodają aksamitne wyłogi. Dla nas ubiór to za kosztowny.

Do futer najwięcej w tym roku noszonych należą, tak samo jak i w zeszłym, skunksy, elki męskie, i baranki krymskie. *Czapki* proste, okrągłe niezbyt wysokie wyrabiają się z astrachańskich baranków lub ze skór bobrowych.

Kapelusze jak dotąd ciągle są w modzie niskie *à la Rothschild*.

Co do *bielizny* robimy uwagę, że do ubrania balowego (do fraka) używają się koszule z żabotami lub gorsami haftowanymi. Kołnierzyki stojące, mocno ścięte na przódzie, aby się broda swobodnie poruszała mogła. *Krawaciki* czarne, wąskie.

Buty lakierowane lub ze skóry hamburgskiej robią z końcami szerokimi, zaokrąglane.

Przy gospodarstwie i w ogóle przy pracy na wolnym powietrzu, najważniejsze są wyrabiane przez naszych krawców *kurtki* w kształcie dawnych wołoszek. Robią je ze sławuckiego sukna bez apretury, jako ubezpieczające od wilgoci i nieprzepuszczające tak łatwo deszczu.

Jak w całej Europie, tak i u nas w Warszawie handel i przemysł krytyczne stadium przechodzi, to też zauważyliśmy, że wszystkie materiały tak jedwabne jak i wełniane daleko w tym roku są droższe, za to, na pocieszenie naszych czytelników dodamy, że płótna mamy tańsze i to w doborowych gatunkach.

Opis ryciny paryżkiej.

Figura 1. Kostjum jedwabny koloru wina Bordeaux. Spódnica z szerokim marszczonym wolantem. Nad nim dwie bufki. Na wierzch baskina ogarniowana koronką czarną, przybrana po bokach kokardami: forma baskiny zastosowana do rogówki, tworzy tak zwany *pouf*, zwężony u dołu, a rozniestą na biodrach. Stanik nieodecinany w pasie, otwarty kwadratowo, objęty pliską na wykroju. Pod spód muszlinowa haftowana koszulka. Kapelusik aksamitny czarny z czasów Ludwika XV, nad czołem bukiet z kwiatów koloru sukni. Szarfy do wiązania czarne. Rękawiczki kozłowe.

Figura 2. Kostjum złożony z dwóch spódniczek. Pierwsza z nich mieniona w kolorze *flamme de punch* z szerokim wolantem marszczonym. Nad wolantem ruszka z wystrzyganą materji. Na wierzch krótka suknia czarna pod szyję, podpięta po bokach. Przez środek idzie naszyta w drabinkę taśma indyjska w nowym zupełnie rodzaju. Kołnierzyk batystowy stojący, rękawki złożone z bufki batystowej.

Od Redakcji.

Z kończącym się rokiem zwracamy uwagę, że skutkiem nowych przepisów co do przesyłania nalezytości na prenumeratę pism perjodycznych, najdogodniej będzie takową, przysyłać wprost do naszej Redakcji z adresem dokładnym i wyraźnie napisanym.

Redakcja bowiem z chwilą odebrania pieniędzy i adresu wysyłkę numerów dopełnia natychmiast, i tym sposobem Prenumeratorem na żadną zwłokę nie zostaje narażony.

Nowy sposób rozsyłania pism perjodycznych, obowiązujący do kontroli, powinienby stanowczo zapobiedz nieregularnemu odbiorowi Tygodnika *Mód*, gdyby jednak zaszły jakie nieprzewidziane niedokładności, prosimy o natychmiastowe zanoszenie zażaleń według przepisów obowiązujących.

Prenumerata w roku przyszłym 1869 wynosi: Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie i w Redakcji:

Kwartalnie Rs. 2 kop. 50

Półrocznie „ 5 — —

Rocznie „ 10 — —

W Warszawie kwartalnie „ 1 kop. 80

Do numeru dzisiejszego dołącza się rycina Paryżka kolorowana i kalendarz na rok. 1869.